

Wczesnym rankiem, jeszcze przed śniadaniem, odbyłem z dyrektorem Marczakem „naradę wojenną”.

— Za wcześnie, panie dyrektorze, aby krzyczeć „hurra”, trafiliśmy jednak na właściwy trop — powiedziałem. — Musimy działać ostrożnie, aby nie spłoszyć ptaszków. Przede wszystkim należy, nie wzbudzając podejrzeń, zdobyć fotografie obydwu chłopaków, którzy jeżdżą na „hondzie”. Zdjęcia ich przedstawimy ludziom, którzy sprzedali ikony motocykliście. Jeśli potwierdzą, że to był jeden z nich, damy znać milicji. Na razie nie ma potrzeby podnosić alarmu.

Ustaliwszy plan dalszego działania, poszliśmy na śniadanie. Zaraz potem magister Skwarek wyjechał „fiatem” z campingu, aby — jak mi powiedział — przywieźć prezent dla panny Helenki. Ja zaś poprosiłem do siebie Ludmiłę, Baśkę oraz kolegę Baśki przezwiśkiem Piątkę.

— Potrzebna mi będzie fotografia Franka Gnata i drugiego chłopaka na „hondzie”, zapewne jego brata — oświadczyłem trójce młodych ludzi. — Ty, Ludmiło, zrobisz swoją kamerą zdjęcie Frankowi. Głowa Baśki i Piątki w tym, aby on tego nie zauważył i nie nabral podejrzeń.

— Oni może widzieli mnie w pańskim wehikule — przypomniała Ludmiła. — Gdy zechcę ich sfilmować, nabiorą podejrzeń.

— Podrzucę was w okolice Cisnej swoim wehikulem. Wy pojedziecie dalej niby to na spacer, trójka młodych turystów, dwóch chłopaków, a wśród nich dziewczyna z aparatem filmowym. Cóż w tym podejrzanego?

Wyjaśniłem im, do czego potrzebne mi są te zdjęcia. I pojechaliśmy do Cisnej. Ale po dwóch godzinach wróciliśmy z bardzo smętnymi minami. Okazało się, że w kiosku z pamiątkami siedział stary Gnat, a jego fotografia nie była nam do niczego przydatna.

Odbyliśmy znowu małą „naradę wojenną”. Podczas narady dyrektor Marczak wystąpił z następującą propozycją. Otóż trójka młodych znowu wyruszy do Cisnej, ale tym razem autobusem. A dyrektor Marczak zostanie przeze mnie podwieziony wehikulem w okolicy Bystrego. Objuczony swym sprzętem turystycznym uda się do zagrody Gnatów.

— Przyjdę do nich jako zabłąkany turysta — opowiadał Marczak. — Mam przy sobie aparat fotograficzny. I tak się urządę, że jeśli młody Gnat będzie w domu, zrobię mu zdjęcie pamiątkowe.

Miałem pewne obawy, czy dyrektor Marczak potrafi dobrze odegrać rolę zabłąkanego turysty, ale on już podjął decyzję z wy-

sokości swej urzędowej zwierzchności.

— Pan mnie zupełnie nie docenia — oburzył się. — Znakomicie odegram swoją rolę. Jeśli tylko młody Gnat będzie w domu, zdjęcie mu zrobię z całą pewnością. Jeśli zaś pojedzie do Cisnej, tam zdjęcia robi mu Ludmiła. W ten sposób weźmiemy go w dwa ognie.

A potem dyrektora Marczaka poniosła fantazja:

— Czy nie sądzicie państwo, że samotny turysta może wydawać się podejrzanym? Co powiecie na to, jeśli zaproponuję, aby do zagrody Gnatów udała się wraz ze mną panna Helenka oraz pan Tomasz? Trójka turystów zbłąkanych w górach to już wygląda bardziej prawdopodobnie. I do tego jeszcze czeskich turystów, bo będziemy udawać Czechów, co pannie Helence przyjdzie bez trudności.

Był to pomysł w istocie rzeczy bardzo błazeński. Ale w swej praktyce stwierdziłem niejednokrotnie, że często najbardziej idiotyczne i naprędce organizowane pomysły przynosiły dobre rezultaty, a brały w łeb precyzyjnie przygotowane akcje.

A zresztą, czy mieliśmy jakieś inne wyjście, aby zdobyć fotografie młodego Gnata?

O naszej wyprawie wiedziała tylko trójka młodych ludzi. Nie wtajemniczyliśmy w tę sprawę ani pana Dohnalę, ani Smitha, nie mówiąc o Skwarku, który wyjechał.

Baśka wyrysował plan drogi do zagrody Gnatów. Zaznaczył miejsce, gdzie najlepiej będzie zaparkować wehikule oraz którędy pójść dalej pieszo, aby trafić do Gnatów.

Tego popołudnia, pogoda była fatalna, ale nam wydała się bardzo sprzyjająca, albowiem uzasadniać mogła fakt naszego zabłąkania się w górach. W dolinach siąpił deszcz, wyżej zalegały niskie chmury i snuły się gęste mgły.

W Bystrym skręciłem w dolinę Rabego potoku i pojechałem wyboistą drogą wzdłuż rzeczki. Minąłem zabudowania leśnictwa, gdzie to w swoim czasie Baśka pytał drwala o drogę do Gnatów. Tym jednak razem przy leśniczówce nikogo nie było, nikt chyba nie widział naszego samochodu. W miejscu zaznaczonym na planie skręciłem w krzaki. Niewidoczny z drogi, mógł oczekiwać bezpiecznie naszego powrotu.

— Zabiera pan psa? — zdumiał się Marczak, gdy kazałem Protowi opuścić wehikule. — Po-

co nam to będzie? Natychmiast rozpoznają pana po tym pańskim psie.

— Nie wiem, kiedy wrócimy — wyjaśniłem Marczakowi — i nie mogę na dłuższy czas pozostawić Protę w samochodzie. Ale to posłuszne psisko i na pewno nie pomiesza nam szyków. Każę mu leżeć gdzieś za krzakami w pobliżu zagrody Gnatów.

Z miejsca, gdzie znajdowaliśmy się, do zagrody można było zejść w dół tylko po stromej ścianie jaru. Nad potokiem przerzucono kładkę drewnianą, bardzo zresztą wysoko. Trzeba było dostać się na tę kładkę.

— Schodzimy — zdecydował bez namysłu dyrektor Marczak. I pierwszy zaczął zsuwać się po stromej ścianie jaru.

— Waruj! Waruj! tutaj! — dwukrotnie powtórzyłem rozkaz Protazemu.

Pies położył się posłusznie za zalodem skały, swój wielki łeb wtulił między przednie wyciągnięte łapy.

Poszedłem w ślady Marczaka, a za mną wyruszyła panna Helenka. Dyrektor Marczak maszerował w dół szybko i zreźnie, niczym prawdziwy taternik. Wielki pies Gnatów dojrzał nas wre-



ście i zaczął zaciekle ujadać. Myślałem, że ktoś tam z okna chałupy zerknął do jaru i musiał nas także zobaczyć. Widok Marczaka, śmiało schodzącego po stromiznie, chyba każdemu musiał nasuwać przekonanie, że oto nadchodzą alpiniści najwyższej klasy.

Lecz fortuna lubi płatać figle. Nie należało zapominać o deszczu, który od południa niestannie siąpił w tej okolicy. Raptem Marczak pośliznął się na jakiejś skale, zatrząsał rękami jak ptak, który zamierza wlecieć, potem chwycił się wątlej koso-drzewiny i... zjechał w dół. Szczęście na poślachkach, i to z niezbyt dużej wysokości. Gorzej, że zjechał nie na kładkę, tylko pro-

sto w potok. Klapnął w wodę jak wielka żaba.

— Do licha! — jęknął, wcale nie po czesku, a przecież miał Czechów udawać.

Nic mu się nie stało. Tyle tylko, że przemoczył spodnie aż do pasa. Podniósł się zresztą zaraz z wody i pomrukując wściekle pod nosem, przelał na drugi brzeg, ślizgając się na mokrych głazach.

Pies ujadł jak oszalały. Z chałupy wyszła starsza kobieta w chustce i obrzuciła Marczaka porurym wzrokiem.

— Czego pan chce? — zapytała niechętnie.

— My są Czesi — łamaną polszczyzną wyjaśnił Marczak pokazując na swoje mokre spodnie. Zrozumiała, że zapytuje ją, czy nie ma suchych spodni na zamianę.

— Nie mam spodni — burknęła.

— Suszyć... suszyć — tłumaczył jej Marczak.

— Aha, wysuszyć — domyśliła się. — No dobrze, w piecu napalone. Może pan spodnie wysuszyć.

W tym czasie ja i panna Helenka szczęśliwie zleźliśmy do jaru i po chwiejnej kładce przedostaliśmy się na podwórze.

Panna Dohnalówna płynnie po czesku próbowała wyjaśnić kobiecie, że jesteśmy turystami z Czechosłowacji. Chcemy dojść do Leska, ale zbłądziliśmy w górach z powodu mgły i deszczu. Zapytała, czy kobieta może sprzedać nam mleka i chleba. Zrozumiała te słowa.

— Nie. Krowy nie trzymam. Ani kur. Chleba też mi zabrakło — oświadczyła.

Wskazała na ławę, stojącą pod wystającym okapem chlewu, przytykającego do szczytowej ściany chałupy. Na Marczaka kiwnęła głową, żeby poszedł za nią do chałupy suszyć spodnie...

C.d.n.